

# Awraam Isaakowicz Kuszul

---

## Modlitwa

---

Awazymyz : pismo historyczno-społeczno-kulturalne Karaimów nr 3(17), 12-13

---

2007

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## MODLITWA

Był listopad 1920 roku. Biała Armia opuszczała Krym. Nasza szkoła wojskowa ewakuowała się z Sewastopola. Czekaliśmy na załadunek. Przed portem zebrała się masa ludzi – zmieszanych z konnymi zaprzęgami i zgromadzonym dobytkiem – o wysmaganych wiatrem twarzach, odzianych w szynele, w burki, w papachy, w kubanki... Tłum stale narastał, zbijał się coraz ciasniej, z wolna, lecz uporczywie przemieszczając się w kierunku nabrzeży. Tutaj, po licznych trapach, wlewał się na pokłady statków, wypełnił je, zaczął przenikać do ładowni.



*Jakov i Michail O. Kefeli na okręcie „Le Caucase” podczas ewakuacji. Odessa, kwiecień 1919 r.*

Ruch ten trwał cały dzień. Jego natężenia i uporczywości nie zmniejszyła nadchodząca noc. Zmrok wzmógł jedynie tajoną w duszach trwogę, nakazywał czujność i ostrożność. Pojedyncze głosy niosące się poprzez ciemności od czarnej, zbitej ludzkiej masy, przepajały dusze lękiem. Wydawało się, że te głosy napelnione człowieczą trwogą i przygnębieniem niosły je dalej i przekazywały innym. Widoczna na odległość wielu wiorst luna wznieconych dzień wcześniej pożarów, dawała smutne pożywienie niepokoju, zmartwieniu, tęsknocie. Turkot kołowrotów wind okrętowych budził chwilami lęk, przeszywał dreszczem...

Po długo trwających przepychankach i przetasowaniach dostaliśmy się na pokład norweskiego węglowca.

Byliśmy na statku, a na brzegu ciągle to samo – niosły się głosy, dźwięki, turkot kołowrotu... Czuło się smutek, żal. Stłoczeni w ładowni junkrzy tracili poczucie rzeczywistości, zapadali w ciężki sen.

Rano byliśmy na pełnym morzu. Nie było widać brzegów. Na wszystkie strony rozpościerała się nieprzyjazna, surowa, szarozielona otchłań, w której hulała i pieniała się fala. Nad wodną otchłanią zawisła inna – niebo, nisko sklepienie i zachmurzone, całe w ciężkich jesiennych chmurach. W oddali majaczyły maleńkie sylwetki dwóch dymiących parowców. Wiał wiatr.

Czuło się tęsknotę i pustkę. Nastął nudny, niczym niewypełniony dzień. Junkrzy wychodzili na pokład, schodzili do ładowni i znowu wracali na pokład. Na dole – w ładowni – cały czas panował ten sam półmrok, znajdowały się ciągle te same grodzie i węglowy pył; u góry – na pokładzie – stale te same rury i maszty, ten sam surowy bezkres morza, te same pędzące po niebie ciężkie chmury.

Dłużący się szary dzień zaczynał z wolna przechodzić w szary, chłodny wieczór. Na pokładzie zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Junkrzy stłoczeni w ładowni, pokotem legli na brudnych deskach podłogi. Było tam teraz niemal zupełnie ciemno. Niektórzy próbowali drzemać, gdzieś prowadzono ciche rozmowy, inni – bardziej zapobiegliwi – przeżuwali zdobyte pożywienie. Ci z junkrów, którzy wczoraj mocno nabili swoje worki i torby wszystkim, co można było zabrać z opuszczonych magazynów, zajęci byli rozpakowywaniem i porządkowaniem swojej niewinnej zdobyczy. W jednej gromadce, skupionej wokół Bóg wie gdzie zdobytej świeczki, grano w karty na niemające już wartości papierowe pieniądze... W ciągu trwającej doby podróży całkiem poszarzała junkierska gromada.

I nagle w ładowni, zajmowanej przez drugi półbatalion, rozległ się gromki głos dyżurnego starszego junkra.

– Dowódcy plutonów, przygotować ludzi do modlitwy! Na górę, na pokład!

W tej sytuacji okrzyk dyżurnego wydał się niedorzecznym, dziwacznym i spotkał się z niedowierzaniem, wręcz wrogością. Jednak polecenie, wydane przez dyżurnego, zostało podjęte przez dowódców plutonów i z różnych zakątków ładowni dało się słyszeć głosy:

– Wychodź do modlitwy! Szykować się do modlitwy!

Ruszyła się ciemna masa ciał zalegających ładownię. Towarzyszył temu cichy pomruk niezadowolonia i sprzeciwu, a z tego pomruku wyrwały się,

półgłosem wypowiedziane dwie, trzy śmielsze uwagi, pochodzące od osób o buntowniczym usposobieniu, zawsze szemrających w grupie. W bezładzie, niechętnie i ospale, jednak junkrzy podnosili się; tak podnosi się stado na okrzyk pastucha.

U wyjścia powstał zator. Junkrzy w pojedynkę gramolili się po wąskich, wiodących w górę stromych schodkach i wysypywali na pokład. Taki sam potok wylewał się na pokład z drugiej ładowni zajmowanej przez junkrów pierwszego półbatalionu. Przydeptując się nawzajem i przepychając, batalion formował zaimprovizowany szyk, uwarunkowany niedostatkiem miejsca i jego charakterem. Rozlegały się głosy zaprowadzających porządek dowódców plutonów i kompanii. Słuchając tych poleceń, szeregi to przesuwały się w przód, to niezgrabnie się cofały, to znów lekko przesuwały się w bok. W końcu jakiś tam porządek osiągnięto i dopiero wtedy wyszedł oficer dyżurny.

– Baaaaaczność! – wyrwał się tubalny okrzyk z szerokiej piersi starszego junkra. Rozkaz ten zabrzmiał tak, jak brzmiał setki razy w murach szkoły – było zupełnie bez znaczenia, że został podchwycony przez morski wiatr i poniesiony w nieznaną dal.

Ruch ustał jak biczem strzelił. Batalion zamarł.

Oficer dyżurny odczekał chwilę – i w tym krótkim czasie jakaś niewidzialna, niepojęta siła, nadająca ludziom sprężystość i jasność dzwonu, jednocząca ich w coś dużego i mocnego, rozeszła się i zastygła w szeregach.

– Zaraz przystąpimy do modlitwy – i każdy wiedział, że nie będzie to zwykła modlitwa, że będzie to modlitwa szczególna, uroczysta i wielka; i każdy czekał, by za chwilę usłyszeć potężny głos tej wielkiej całości, do której należał i którą czuł.

– Do modlitwy! Czapki z głów! – komenderował oficer dyżurny.

Poruszyły się szeregi. Odkryto głowy.

– Odśpiewać modlitwę! – oficer dyżurny sprawnie wykonał w tył zwrot odwracając się plecami do linii frontu, zdjął furażerkę i zastygł w bezruchu.

Na chwilę zapadła cisza. Potem dały się słyszeć ciche, ale pewne głosy intonujących pieśń: „Ojczyzna nasza”... i zaraz siłą czterystu młodych głosów dołączył cały batalion – „któryś jest w niebie...”. Rozległ się śpiew potężny, prosty, wydawało się, że przesłaniający sobą wszystko.

Tak, takiego właśnie potężnego głosu oczekiwali wszyscy. I teraz każdy śpiewał, lecz słyszał i wsłuchiwał się tylko w ten właśnie głos. I niósł się ten głos, twardy, mocny w swej sile. Czterysta ludzkich ciał tworzyło teraz jedno ciało, czterysta dusz – jed-

ną duszę. I te wielkie ciało i dusza bez trudu, z lekkością wydobywały z siebie śpiew o sile niemal gromu.

Moc tkwiła nie tylko w samym śpiewie. Wyraźnie czuć było tchnienie siły idącej od tych zwartych szeregów, od tych połączonych w uduchowieńcu licznych młodych lic z szeroko otwartymi ustami; i nie było łatwo powiedzieć dlaczego, lecz czuć było, że coś majestatycznego i uroczystego unosi się nad obnażonymi głowami...

W ten sposób na zawsze pozostała w mojej pamięci ta modlitwa junkrów na pełnym morzu, odśpiewana przy burcie norweskiego statku.

Zadawałem później sobie pytanie, jakie było źródło tego uduchowieńcu, tej jednoścu? Skąd wzięła się ta siła? Dlatego, że była to pierwsza modlitwa na obczyźnie? Być może. Albo też wpływ miały wszystkie ostatnie przeżycia i niezwykłość sytuacji? Czy też dlatego, że Rosjanie modlili się na obcym statku? Może wszystko razem? Nie wiem. Nie wiem także, czy na to pytanie mógłby odpowiedzieć ktokolwiek ze stojących wówczas w szyku.

To nie była ekstaza wywołana modlitwą. Nie. Nie było to zwyczajne uduchowieńcu i poczucie jednoścu, jakie towarzyszą zwykłej pieśni. Siła, która połączyła wszystkich w tej modlitwie, była o wiele głębsza i bardziej znacząca. Także – wtedy, w czasie modlitwy, poprzez powszechną podniosłość czuć było, że dzieje się coś, co nie często ma się okazję zobaczyć, co – wydawało się – wryje się w pamięć... I rzeczywiście, przetrwało w pamięci.

Gdy przebrzmiały ostatnie słowa modlitwy, jakby rozwiane hulającym po pokładzie morskim wiatrem, a oficer dyżurny odwrócił się i zakomenderował:

– Nakryć głowy! – rozkaz ten przerwał ciszę. Batalion poruszył się, junkrzy zakładali furażerki. I z miejsca rozpadła się ta – istniejąca jeszcze przed chwilą – jednoścu.

– Rozejść się! – W batalionie zakotłowało się, ludzie zaczęli się rozchodzić. Jedni schodzili do ładowni, inni oparci o poręczce patrzyli w wodę. Wiatr się wzmacniał. Zmierzch zakrywał woalką morską dal. O burtę uderzała ciężka, ołowiana fala. Statek, rytmicznie wstrząsany pracą maszyn, niestrudzenie parł naprzód.

Drancy, 1930 r.

*Awraam Isaakowicz Kuszul*

*Tłumaczenie z j. rosyjskiego Konstanty Pilecki*